

## Jak zostałam położną w Kambodży

Plan wyjechania do Kambodży powstał w odpowiedzi na potrzebę zmiany, którą nagle mocno odczuliśmy - ja i Tim, mój partner i przyjaciel, który zawsze pomaga mi w szukaniu życiowej ścieżki i na co dzień daje odwagę do działania i robienia tego, co kocham. Żartujemy, że to przez kostkę cukru znaleźliśmy się tutaj: będąc pewnego dnia w kawiarni rozmyślaliśmy, co zrobić z naszym wspólnym życiem, gdy wzięłam do ręki cukierniczkę, w której znajdowały się kostki cukru zawinięte w papierki z różnymi napisami. Podałam je Timowi i poprosiłam o wyciągnięcie jednej mówiąc w żartach, że to, co będzie na niej napisane, określi naszą przyszłość. I było napisane: **Azja...**

Śmialiśmy się, że w takim razie musimy przeprowadzić się do Azji. A że w każdym żarcie ukryte jest ziarenko prawdy... utknęło to gdzieś w naszych dwóch głowach i w końcu powiedzieliśmy sobie: A czemu nie? Kilka tygodni później byliśmy już w samolocie, nie wiedząc, na ile wyjeżdżamy, gdzie się zatrzymamy, jak bardzo się zmieni nasza codzienność...

Po trzech tygodniach wakacji w Tajlandii przylecieliśmy do **Phnom Penh** - stolicy Kambodży. Jak się okazało, mieszka tu od kilku miesięcy Ewa, moja koleżanka z liceum. Nic nie dzieje się przypadkowo: Ewa i jej narzeczony Tarek byli dla nas od początku dużym wsparciem; zaoferowali pokój, towarzyszyli nam w odkrywaniu tego fascynującego miejsca, dzięki nim poznaliśmy też naszych obecnych współlokatorów i wspaniatych przyjaciół. Po kilku pierwszych, cudownych tygodniach, pełnych słońca i ulewnych deszczy, przygód, odkryć i nowych egzotycznych doświadczeń, postanowiliśmy zatrzymać się tu na dłużej... I któregoś dnia zobaczyłam na stronie internetowej jednej z tysięcy funkcjonujących tu organizacji pozarządowych, że szukają położnej. I tak to się zaczęło: **zostałam położną w Kambodży!**

Organizacja, w której pracuję jako wolontariuszka, założona została przez Australijską położną. Poza nią, jej asystentką i mną, pracują w niej sami Khmerzy. Organizacja zapewnia wsparcie i opiekę medyczną i psychospołeczną samotnym kobietom ciężarnym, znajdującym się w trudnych sytuacjach życiowych, przez cały okres ciąży, poród, połóg i aż do ukończenia przez dziecko 18 miesięcy. Jako organizacja współpracujemy ze szpitalem, do którego regularnie zawozimy tuk tukiem nasze pacjentki na wizyty prenatalne - tam wykonujemy im wszystkie badania, szczepienia, USG, tam też rodzą

nasze pacjentki. Wprawdzie jesteśmy także przygotowani na nagły poród w tuk tuku, jednak do tej pory się to nie zdarzyło!

Obecnie pod opieką mamy kilkanaście pacjentek ciężarnych i wiele kobiet po porodzie, które przychodzą do nas na ważenie dziecka, szkolenia dotyczące rodzicielstwa, spotkania z pracownikami społecznymi itd. Wiele z nich nie ma gdzie mieszkać, dlatego współpracujemy z innymi organizacjami, które zapewniają im nocleg i wyżywienie. Pomagamy im także szukać pracy, oraz kursów i szkoleń, po których będą mogły znaleźć zatrudnienie - wiele z nich nie ma bowiem wykształcenia, niektóre nie potrafią pisać ani czytać. Wiele kobiet pochodzi z prowincji i tam mieszka - regularnie odwiedzamy je w ich miejscu zamieszkania, dowozimy jedzenie i ubrania dla nich i dla dzieci. Decydujemy, czy kobieta powinna rodzić w Health Center niedaleko jej miejsca zamieszkania - które przypomina bardziej przychodnię niż szpital i zwykle nie cieszy się dobrą reputacją - czy też w stolicy, do której przywozimy ją wraz z jej osobą towarzyszącą. Jeżeli kobieta jest zupełnie sama, i nie ma kto jej towarzyszyć w czasie ciąży i porodu, przydzielamy jej pracownika społecznego, który towarzyszyć jej będzie zawsze wtedy, gdy zajdzie taka potrzeba. Przy porodzie obecna może być oczywiście położna - czyli ja - ale jako że nie jestem pracownikiem szpitala, nie mogę wykonywać żadnych medycznych czynności przy pacjentce. Do tej pory jednak nie udało mi się dojechać na żaden poród (nie zostałam powiadomiona na czas lub nie było mnie w mieście). **To ekscytujące doświadczenie jest więc jeszcze przede mną!**

Przez pierwsze 2 miesiące mojej pracy towarzyszyła mi **khmerska położna**, która obecnie przeszła na urlop macierzyński. To ona wprowadziła mnie w tutejsze położnictwo: tłumaczyła, pokazywała, opowiadała. Teraz, gdy jej nie ma, muszę radzić sobie sama - największą barierą jest oczywiście język, którego teraz na co dzień uczę się z pacjentkami (tylko jedna z nich mówi trochę po angielsku). To spore wyzwanie, ale bardzo satysfakcjonujące, gdy udaje mi się z nimi wymienić kilka zdań! W szpitalu na szczęście lekarze mówią dobrze po angielsku lub po francusku, cierpliwie i ochoczo tłumacząc mi wszystko, co dotyczy moich pacjentek.

**Bycie położną w Kambodży to dla mnie niesamowite doświadczenie.** Wiele się już nauczyłam - nie tylko z położnictwa, ale i codziennego życia tutejszych kobiet: ich podejścia do wychowywania dzieci, problemów, marzeń. A przede wszystkim, obserwując te młode kobiety w tak trudnych życiowo sytuacjach, w piękny sposób zajmujące się swoimi

nowonarodzonymi dziećmi i często, choć nie zawsze, mocho walczące o  
dobry byt dla nich, uświadamiam sobie, że macierzyństwo daje wielką  
moc.